

Leszek Sługocki

"Mówi obrońca...", Henryk
Nowogródzki, Warszawa 1988 :
[recenzja]

Palestra 33/11-12(383-384), 107-113

1989

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

potrzeby wymierzenia za nie surowej kary. Niestety, już dziś i bardziej jeszcze w przyszłości stanowisko takie nie wystarczy. Terroryzm jest chorobą, której zatrute korzenie sięgają przecież gdzieś do gleby idei (!). Przy tak złożonej chorobie, jaką stanowi dla nowożytnego społeczeństwa terroryzm, trzeba będzie stosować wielokierunkowe leczenie, poprzedzone staranną etiologią. Temat ten oczywiście przekracza ramy zbioru felietonów i odnoszącej się do tego zbioru recenzji. Uważam jednak, że najkrótsze wskazanie, iż ratunek (rzeczywisty!) przed terroryzmem tkwi głównie w pedagogice i atmosferze pedagogicznej, w przywróceniu szeregu obalonych wartości i w odpowiedzialnym zhierarchizowaniu tych wartości — należało zamieścić nawet w felietonie.

Zalety pisarskie mec. Nowogródzkiego znamy od dawna. Pisze on jasno, bardzo dobrą polszczyzną i stwarza w swych tekstach swoiste „ciepło humanistyczne”.

Praca jest ciekawa i ze wszech miar godna czytania. Forma edytorska „na trójkę”.

Roman Łyczywek

4.

Henryk Nowogródzki: *Mówi obrońca...*, Warszawa 1988, 152 strony.

Felieton jako gatunek literacki narodził się we Francji na początku XIX w., a jego twórcą czy pierwszym pisarzem ten gatunek uprawiający był Julien-Louis **Geofroy** (1743—1814). Są wprawdzie tacy, którzy za ojca felietonu uważają naszego Franciszka Bohomolca (1720—1784), ale to tylko przez wzgląd na lokalny patriotyzm. Zresztą nie miejsce tu na zajęcie się bliżej tym gatunkiem literackim, podawaniem jego historii czy też definicji.

W każdym razie jedną z cech felietonu jest cykliczność publikacji, a dalej — popularne ujęcie mające trafić do szerokiego grona czytelników, zajęcie się przede wszystkim zagadnieniami bieżącymi itd.

Felieton jest zwiewny jak chwila; za tydzień ukaże się następny, a wówczas o uprzednim (prawie) wszyscy zapomną. Nawet jego nieścisłości czy błędy, a także mijanie się z prawdą. Wprawdzie felietony wywołują czasami polemiki, ale ponieważ są to polemiki pisane najczęściej przez innych felietonistów, więc czytelnicy nie bardzo się nimi przejmują. I tak trwa ten felietonowy łańcuch.

Rzadko wydawane są zbiory felietonów w formie książkowej. U nas jednak to się zdarza. Gdy są to felietony czysto publicystyczne, o charakterze recenzji teatralnych czy o książkach, o bieżących

zagadnieniach życia, to nie wymagają najczęściej przepracowania, weryfikacji czy nowych ocen. Inaczej natomiast przedstawia się sprawa, gdy ma być wydany zbiór felietonów prawniczych. Autor musi się wówczas liczyć z tym, że jego tekst zostanie nie tylko przeczytany, ale też rozważony i zweryfikowany przez zawodowych prawników, przez fachowców. Nie jest wtedy dobrze, gdy ujawnią się potknięcia. One rzutują na ocenę całej książki, która przecież prezentować może szereg interesujących fragmentów i ciekawie napisanych.

Takie myśli przysły mi do głowy po przeczytaniu zbioru felietonów adw. Henryka Nowogródzkiego, wydanego pt. „Mówi obrońca...”.

Książka powstała z zestawionych 46 felietonów opublikowanych przez Autora w „Życiu Literackim” (z jednym tylko wyjątkiem, o którym dalej wspomnę). Były to felietony z podtytułem „Po zdjęciu togi”. Pierwszy z nich ukazał się w nrze 34/84 z dnia 19 sierpnia 1984 r. właśnie pt. *Po zdjęciu togi* (w książce został on pominięty). Ostatni z nich, który znalazł się w książce, był pt. *Sędzia na ławie oskarżonych*, a opublikowany został w nrze 45/86. Autor dalej kontynuował pisanie felietonów, ale nie weszły one do omawianej książki. W sumie z 80 felietonów opublikowanych między pierwszym a ostatnim znalazło się w książce 45. Z pominiętych niektóre nie mieściły się w tytule, który niejako porządkował zakres tematyczny, ale z drugiej strony znalazło się w książce szereg felietonów nie mieszczących się m.zd. w zakresie tematycznym zakreślonym przez tytuł (np. *Czy Stefania Harper pójdzie siedzieć?*). Jedynym felietonem, jaki znalazł się w książce, a którego nie mogłem odnaleźć w „Życiu Literackim”, jest ten pt. *Jeszcze jeden sportowy dramat*.

Książka nie tylko umożliwia, ale zobowiązuje do dokonania weryfikacji w różnych płaszczyznach. Ta weryfikacja zezwala na ustalenie wiarygodności Autora. Uczynię to na skromnej liczbie przykładów.

Już w pierwszym felietonie (*Oddalenie*) pisze Autor, że gdy był uczniem gimnazjum, to w przeddzień klasówki z „matmy” czytał książkę Jakuba Wassermanna pt. „Sprawa Mauriziusa”. Książka ta wzruszyła go dogłębnie itd. Otóż ta informacja pierwszej strony tekstu nie jest prawdziwa. W pominiętym w książce felietonie pt. *Jedyny polski królobójca* (opubl. w Ż.L. nr 39/84) pisał Autor, że w 1922 r. był uczniem VI klasy gimnazjalnej, dwa lata przed maturą. Maturę osiągnął więc w 1924 r. Rozpoczął po studiach (czteroletnich) aplikację jeszcze w sądzie pokoju, a więc w 1928 r. Tymczasem książka Jakuba Wassermanna ukazała się w 1928 r. w Berlinie (P. Fischer, Verlag, Berlin 1928, stron 577) i wydana była pismem gotyckim, które rzadko kto, ucząc się w Polsce języka niemieckiego, znał gotyk. Autor nigdy nie napisał, że zna pismo gotyckie.

Natomiast pierwsze polskie tłumaczenie książki J. Wassermanna ukazało się w dwóch tomach w 1929 r. w wydawnictwie Instytutu Wydawniczego „Renaissance”. Tłumaczem był z upoważnienia autora Marceli Tarnowski (tom I 278 stron, tom II 359 stron), przy czym tytuł pierwszego tomu brzmiał „Urok życia (Sprawa Mauriziusa)”, a tytuł drugiego tomu — „Groza śmierci (Sprawa Mauriziusa)”. Tak więc „Pani Aldona” mogła podsunąć Autorowi do czytania książkę Wassermanna dopiero w 1929 r., a więc w pięć lat po uzyskaniu już przez p. H. Nowogródzkiego matury, a nie wtedy, gdy był gimnazjalistą (ba, był nawet już po studiach prawniczych, bo był aplikantem sądowym). To bezsporne stwierdzenie podaje w wątpliwość wiarygodność opowieści p. Henryka Nowogródzkiego.

Idźmy dalej. Na s. 8 pisze Autor, że Dziesięcioro Przykazań było prawem z VIII—VI wieku przed naszą erą, a potem następował kodeks Hammurabiego i dalej poprzez prawo rzymskie stanowiono i stanowi się prawa. Otóż prawa Hammurabiego wypisane na kolumnie były najstarsze, gdyż władca ten panował w latach 2067—2024 przed Chrystusem (lub 1792—1750, ew. 1730—1685 według innych wyliczeń), a Dziesięcioro Przykazań uformowane przez Mojżesza pochodzi z XIII wieku przed Chrystusem. Nie ma dowodu, by prawa Hammurabiego wpłynęły na Dekalog, a ten z kolei na prawa rzymskie.

Na s. 29 pisze Autor: „(...) wielki adwokat i mówca prezydent Francji Poncaré, orator sądowy i parlamentarny”. Idzie tu zapewne o prezydenta Francji w latach 1913—20 Raymonda **Poincaré** (1860—1934). Rozpoczął on karierę polityczną w 1887 r. jako deputowany z Meuse i z małymi przerwami kontynuował ją do 1929 r. Nie miał więc czasu, by błyszczeć jako orator sądowy.

Na s. 55 pisze Autor: „Arsen Lupin okradał bogaczy, aby zdobyć przeznaczoną dla biednych.” Otóż „Arsène Lupin” jako postać był wytworem fantazji pisarza francuskiego Maurice’a Leblanca (1864—1941). Nie był złodziejem (nie okradał więc), ale był „gentelmem włamywaczem” (*gentleman-cambrioleur*). Czytałem szereg powieści Leblanca, ale jakoś nie znalazłem, by Arsène Lupin zdobywane łupy przeznaczał dla biednych. Również nic na ten temat nie znalazłem w numerze francuskiego miesięcznika „Europe” z sierpnia—września 1979 r., jaki pod tytułem *Arsène Lupin* poświęcony został Maurice’owi Leblancowi (studia o jego twórczości, bibliografia itd.).

Na s. 59 pisze Autor: „Profesor Joliot zginął przejechany przez powóz, oczywiście w zaprzęgu były konie.” — Wcale nie! Profesor Joliot (1900—1958) zmarł śmiercią naturalną (na gruźlicę). Natomiast w dniu 19 kwietnia 1906 r. został przejechany przez wóz ciężarowy ciągnięty przez konie ojciec przyszłej żony prof. Joliot — Pierre Curie (mąż Marii Skłodowskiej-Curie). Tragiczne zdarzenie

miało miejsce na ul. Dauphin w Paryżu. Wypadek ten opisany jest w książce Ewy Curie pt. „Maria Curie”, Warszawa 1979 (Wydanie XV, powojenne VII), na s. 274—275. Mogę dodać, że wypadek ten przedstawiony został w filmie amerykańskim granym u nas ok. 1950 r., obrazującym życie Marii Skłodowskiej-Curie i Pierre’a Curie.

Na s. 79 pisze Autor o Heliogabalu, który w 204 r. miał być obrany na cesarza jako Marcus Aurelius Antoninus, ale był szaleńcem i swojego ulubionego konia mianował senatorem. Otóż Heliogabal urodził się w 204 r. (inne źródła podają, że w 202 r.), cesarzem obwołany został w 218 r., gdy miał 14 lat, jako Imperator Caesar Marcus Aurelius Antoninus Augustus. Jako cesarz prowadził życie — mówiąc delikatnie — ekstrawaganckie i zamordowany został w 222 r., a więc panował niecałe 4 lata. Natomiast konia swego mianował (czy też chciał mianować) konsulem (a nie senatorem) inny cesarz rzymski, mianowicie Kaligula, który panował w latach 37—41 (a więc także 4 lata). Również on został zamordowany (por. A. Krawczuk: *Poczet cesarzy rzymskich*, Warszawa 1986, s. 50).

Na s. 81 pisze Autor: „bogini Niobe”. Niobe, córka Tantala i Tajgety, jednej z Pleiad (według innych wersji — hyjady Done), legendarna królowa Frygii, zamieniona przez Zeusa w kamień, nie była boginią grecką (por.: *Mała encyklopedia kultury antycznej*, Warszawa 1988, s. 521).

Jeszcze kilka drobnych uwag.

Wybitny polski prawnik dr Aleksander Mogilnicki, adwokat, następnie prezes SN, potem znów adwokat nosił to właśnie nazwisko, a nie Mogielnicki, jak napisał Autor (na s. 80).

O wydaniu przez księgarnię F. Hoesicka komentarza do k.k. z 1903 r., napisanym przez N. Tagancewa, pisze Autor, że dzieło to wyszło w 1918 r. (na s. 66). Otóż wydanie to wyszło w latach 1921—1922. Niby szczegół, ale...

Wspomnę jeszcze, że Autor podał szereg błędnych informacji o wielkim kompozytorze włoskim Gioacchino Rossinim. Tylko to wspominam, gdyż tą kwestią zająłem się gdzie indziej („Odgłosy”, Łódź, nr 15/89, s. 13).

Przedstawmy teraz kilka wybranych potknięć prawnej natury.

Na s. 6 pisze Autor, że w domu na ul. Miodowej w Warszawie, w którym mieszkał, miał swoją kancelarię rejent Tyborowski. W zajmowanych przez niego komnatach piętrzyły się książki hipoteczne, które Autor czytał. Otóż zgodnie z art. 10 lit. a) i art. 88 Instrukcji Hipotecznej z 30 czerwca 1819 r., wydanej przez Komisję Rządową Sprawiedliwości, książki hipoteczne musiały być przechowywane w miejscu przez rząd oznaczonym, pod bezpośrednim dozorem i kluczem pisarza kancelarii ziemiańskiej, a dostęp do nich bez jego obecności nikomu nie był dozwolony. Nie mógł więc ich przecho-

wywać w swej kancelarii rejent (notariusz) i Autor nie mógł ich w kancelarii notariusza czytać.

Na s. 9 pisze Autor, że na podstawie art. 51 § 1 kodeksu wykroczeń może być wymierzona kara aresztu i grzywny. Otóż może być wymierzona kara aresztu (do 2 miesięcy) lub grzywny do 30 tys. zł. Wymierzenie grzywny obok kary aresztu możliwe jest tylko wtedy, gdy wykroczenie popełniono w celu osiągnięcia korzyści majątkowej (art. 24 § 2 k.w.), a więc nie za czyn z art. 51 § 1 k.w., jak to napisał Autor.

Na s. 19 pisze Autor o wyroku „śmierci cywilnej”. Pojęcie „śmierci cywilnej”, przewidziane ongiś przez Kodeks Cywilny Napoleona (obowiązujący na terenie b. Królestwa Polskiego) w art. 725 pkt 3, przestało obowiązywać (utraciło moc) „z końcem dnia 31 grudnia 1825 r.” na mocy pkt 1 Prawa przechodniego, wprowadzającego Kodeks Cywilny Królestwa Polskiego.

Na s. 46 obrazuje Autor sytuację, gdy mąż, nieoczekiwanie przychodząc do domu, zastał tam akt oskarżenia z art. 184 k.k. Czyn z art. 184 § 1 k.k. (gdyż o taki iść miało) jest czynem ściganym z oskarżenia publicznego i do sądu nie mógł wpłynąć akt oskarżenia bez przeprowadzenia postępowania przygotowawczego, to zaś bez udziału podejrzanego toczyć się nie mogło.

Felieton pt. *Urodzona w więzieniu* (s. 48—50) poświęca Autor tragedii kobiety, która przywłaszczając sobie pieniądze społeczne z polecenia mężczyzny (oboje zostali surowo ukarani), a z którym żyła (nie była jego żoną). Dziecko poczęte z tym mężczyzną urodziła, odbywając karę pozbawienia wolności. Na razie banalna historia. Każdy z nas obrońców zetknął się zapewne z taką sprawą. Wszelako Autor pisze: „tamten zaprzeczył swemu ojcostwu” (s. 49). Otóż nie musiał zaprzeczać ojcostwa, gdyż nie był mężem. Nie pisze Autor o procesie o ustalenie ojcostwa, a córka trzynastoletnia ma pretensję do matki, iż w akcie urodzenia figuruje tylko matka, a nie figuruje ojciec (s. 50). Jak wynika z treści felietonu, sprawa karna toczyła się i dziecko urodziło się ok. 1972 r. Obowiązywało wówczas Prawo o aktach stanu cywilnego ustanowione dekretem z dnia 8.VI.1955 r. (Dz. U. Nr 25, poz. 151 z późn. zm.). Stanowił on w art. 34 ust. 2, że w braku uznania lub ustalenia ojcostwa zostaje wpisane imię wskazane przez matkę, a jako nazwisko ojca — nazwisko matki. Tak więc cikliwa historia opisana przez Autora nie mogła mieć miejsca.

Orzeczenie o odszkodowaniu za oczywiście niestuszne tymczasowe aresztowanie ma formę postanowienia (art. 488 § 3 k.p.k.), a nie wyroku, jak napisał Autor na s. 51.

Na s. 66 pisze Autor o k.k. z 1903 r., nie podając, że kodeks ten jako całość w Rosji nigdy nie obowiązywał. Natomiast na obszarze b. Królestwa Polskiego wprowadzony został uchwałą (z dnia 7

sierpnia 1917 r.) Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego jako kodeks tymczasowo obowiązujący, która to uchwała poważnie ten kodeks przekształciła. Na terenie b. Królestwa Polskiego zastąpił on Kodeks kar głównych i poprawczych z 1847 r., a nie kodeks z 1845 r. jak to napisał Autor na s. 68.

Odrębny felieton poświęca Autor „Sitzredaktorowi”. Miał to być człowiek do odbywania wyroku, odsiadania za inną osobę, za rzeczywistego autora tekstu, przy czym Autor bronił niejednego „sitzredaktora”, jak to pisze na s. 138. Otóż Prawo prasowe, ustanowione dekretem Prezydenta RP z dnia 21.XI.1938 r. (Dz. U. Nr 89, poz. 608), nie wprowadziło pojęcia „redaktor odpowiedzialny”, a ten według Autora odbywał karę pozbawienia wolności za autora tekstu. Operuje tylko pojęciem „redaktor”. Przepisów prasowych była cała gama, więc nie tu miejsce, aby wchodzić w szczegóły. Prawo prasowe weszło w życie z dniem 28.XII.1938 r. (art. 75) i z tym dniem utraciły moc (art. 72 ust. 2 pkt III 10) utrzymane na mocy art. 2 pkt 1 Przepisów wprowadzających k.k. z 1932 r. przepisy k.k. z 1903 r. — art. 293—309 (szczegóły oczywiście pomijam), traktujące o przestępstwach prasowych. Te przepisy operowały pojęciem „redaktor” lub „wydawca”, a nie „redaktor odpowiedzialny”. Podaję więc w wątpliwość, by Autor jako adwokat bronił „niejednego sitzredaktora”, jak to napisał. Swój felieton o „sitzredaktorze” kończy Autor zdaniem: „Kopaliński nazywa go elegancko z francuska *sitzredacteur*” (s. 140). Otóż słowo „Sitzredacteur” jest niemieckim rzeczownikiem (por.: Wielki Słownik Niemiecko-Polski, J. Piprek, J. Ippoldt, Warszawa 1972, tom II, s. 462). Było to wyrażenie żartobliwe. Tak więc Kopaliński w Słowniku Wyrazów Obcych nie popełnił błędu. Redaktor odpowiedzialny występował w niemieckiej ustawie prasowej z dnia 7 maja 1874 r. (Dz. U. Rzeszy Niem., str. 65) w paragrafach 8, 10, 11 i 21. Obowiązywały one na ziemiach zachodnich do wejścia w życie Prawa prasowego (por. wyżej). Przepisy karne ustawy z 1874 r. przewidywały możliwość wymierzenia redaktorowi odpowiedzialnemu kary pozbawienia wolności. Stąd też powstało niemieckie słowo *Sitzredacteur*.

Na zakończenie powyższych uwag parę innych zagadnień.

W nrze 37/87 Ż.L. opublikował Autor felieton pt. *Adwokacka etyka*, który pod tym samym tytułem wszedł do książki (s. 111—113). Pisze tam Autor o projekcie, który poddany będzie pod dyskusję w środowisku adwokackim. Otóż projekt ten nabrał mocy jako Zbiór zasad etyki adwokackiej i godności zawodu na podstawie uchwały Naczelnej Rady Adwokackiej podjętej w dniu 25 października 1987 r., a opublikowany został jako wkładka do nru 1—2 „Palestry” z 1988 r. Ponieważ druk książki Autora zakończony został w sierpniu 1988 r. (vide stopka), przeto był wystarczający

czas na poczynienie zmiany tekstu felietonu na taki, jaki powinien się ukazać w książce.

Pisząc o sporcie pisze Autor: „(...) idea olimpijska jest trupem, zresztą nie od dziś. Gnije od kilku dobrych, to znaczy od kilku złych lat. Prawdziwego sportu już nie ma.” Trudno z tym stwierdzeniem polemizować, gdy każda następna olimpiada świadczy o rozwoju idei olimpijskiej, o powszechności tej idei. Trudno polemizować, gdy sport rozwija się coraz powszechniej i przyczynia się do łączenia ludzkości w jedną całość.

W tym samym (felietonie) napisał Autor o odbyciu meczu po tragedii na stadionie Heysel: „Odebrałem to jako profanację, jako bezduszność, brak wszelkich uczuć wyższych, moralnych”. Mocne stwierdzenie, ale czy Autor nie zastanowił się nad tym, co działałoby się na stadionie, gdyby się mecz nie odbył? I dalej kontynuuje Autor: „Te uczucia zostały przestonięte przez wszechwładny biznes, wszechwładny pieniądz, jak przed laty na igrzyskach w Monachium, gdy terroryści zamordowali izraelskich piłkarzy. Igrzyska toczyły się nadal.” Zauważyć tylko można, że izraelscy piłkarze nie brali udziału w Igrzyskach Olimpijskich w Monachium (por. „Życie Warszawy” nr 205 z 27—28.VIII.1972 r.). W następstwie działań terrorystów palestyńskich zginęło w Monachium 11 członków ekipy Izraela, z tego 9 na lotnisku w następstwie strzelaniny (por. „Życie Warszawy” nr 214 z 7.IX.1972 r.).

Słowo to potęga. Brzmi to dziś banalnie, ale jeśli nawet jest to banalne, to tego nie powinien zapominać ani piszący, ani redaktor wydawnictwa, który też ponosi odpowiedzialność za ostateczny treściowy kształt książki. Ponosi też odpowiedzialność wydawca.

Dobre intencje nie wystarczają. Erudycja bywa zawodna. To memento dla każdego. Nawet dla piszących recenzje.

Leszek Ślugocki